

# Przyjaźń i prawda

Józef Lipiec

## Zawiazanie konfliktu

„Przyjacielem mi Plato, ale większą przyjaciółką prawda”. Słowa Arystotelesa z *Etyki nikomachejskiej* należą do kanonu najbardziej znanych, szczerzotłych myśli mędrców Europy. Gwoli dokładności: ten sparafrazowany cytat pierwszą – i nie ostatnią – wersję mieści akurat w platońskim *Fedonie*, gdzie w ustach Sokratesa zabrzmiał w formie zalecenia: „Mniej myśl o Sokratesie, a więcej o prawdzie”. Wariant Arystotelesa zdobył wszakże pierwszeństwo w księgach sentencji. Zapewne nie dlatego tylko, iż spopularyzował go Cervantes w *Don Kichocie*, ale także z przyczyn merytorycznie istotniejszych. Otóż, jeśli Platon podążył śladem swego mentora z ateńskiej agory, to rzeczywisty Arystoteles naprawdę musiał zerwać ze spuścizną Platona, chcąc zostać twórcą oryginalnej metafizyki.

W różnych okresach i kontekstach złota dewiza o prawdzie-przyjaciółce wzbudzała niejednoznaczne odczucia i refleksje. Jedne służyły usprawiedliwieniu decyzji ucznia o porzuceniu poglądów nauczyciela właśnie wyższością prawdy nad inne wartości. Inne zatrzymywały się na samym, być może nierozwiązywalnym dylemacie wyboru między uczuciem a głosem rozumu, lub nawet skłaniały do relatywizmu sytuacyjnego (wszystko miałoby zależeć od tego „Jaki Platon?” bądź „Jaka prawda?”). Jeszcze inne – przeciwnie – jawnie kwestionowały postawę Arystotelesa jako uzasadnienie dyrektywy ogólnej, z cichą sugestią, iż niewiele warte jest objawianie prawdy (choć zapewne nie sama prawda), jeżeli może zniszczyć przyjaźń albo drugiego człowieka.

Spór trwa wciąż i trwa, a jego końca nie widać. Biorą w nim udział – rzecz charakterystyczna – na ogół umysły chłodne i nadzwyczaj precyzyjne, skłonne pójść odważnie za literalnie rozumianym Stagirytą. Jeśli wiesz, gdzie leży prawda i czym jest jej przeciwieństwo, czyli fałsz, nie możesz się wahać w żadnym wypadku. Nie twoją jest winą, że Platon znalazł się po stronie fałszu. Słusznie więc czynisz, wybierając prawdę, choć konsekwencją tego aktu może się okazać zerwanie najcieplejszych dotąd związków ze zwolennikiem błędnej opinii lub koncepcji.

Swój udział w debacie zgłaszają jednak także osoby nastawione na bardziej złożoną kryterialnie hierarchizację wartości, w obrębie której prawda zostaje – niczego jej nie

ujmując – zestawiona wprost z jakimś dobrem, zwłaszcza etycznym. W przypadku konfliktu – prawda, niestety, musi ustąpić innym wartościom. Szczególne zabarwienie przybiera też zagadnienie lojalności wobec tradycji. Cóż nam po prawdzie, w sensie: po nowej *prawdzie*, skoro po stronie dawnej, dziś uznanej za fałsz, nie można postawić naszych ojców i dziadów, a zwłaszcza głęboko szanowanych profesorów Akademii, z Platonem na czele? Czy nie mądrzej, uczciwiej i piękniej będzie pozostać przy przekonaniach przodków i naszych drogich wychowawców?

Przyjmijmy, że odbyło się to w Atenach w taki oto sposób. Platon głosił wszem i wobec, iż rzeczom przez nas doświadczanym przypisane są ich transcendentne wzory, bytujące odwiecznie w świecie Idei. Aby były rzeczy – muszą istnieć wpierw niezależne powszechniki, i one istnieją naprawdę, mocno i niezachwianie, z ich zaś istoty czerpać może swą gatunkową postać każdy pojedynczy byt albo zdarzenie należące do naszego, niedoskonałego świata. System ten należało nadto zamknąć w racjonalnych ramach zasady czasu oraz przyczynowości, toteż niezbędne były Platonowi jeszcze dwa czynniki: Demiurg jako skuteczny Realizator oraz nieco lekceważone materialne Tworzywo (też chyba odwieczne), w którym da się odcisnąć owe pierwotne, idealne schematy.

Ogół słuchaczy, jak wiemy, zachwycony był Platońską koncepcją, szykując się do jej powtarzania, komentowania i budowania ogólnego szacunku przez długie wieki. I tak ta idylla obiektywnego idealizmu, czy jak kto woli: skrajnego realizmu pojęciowego mogłaby trwać szczęśliwie, nie tylko do czasów Plotyna i Augustyna, ale nawet przekroczyć epokę Fregego i Husserla, gdyby – pech – nie ów epizod z Arystotelesem oraz z sensem jego sławnej myśli o przyjaźni. W gronie uczniów Akademii pojawił się więc ten skromny syn lekarza ze Stagiry, który stanowczo odrzucił wizję swego umiłowanego nauczyciela. Uznając ją za wielce przesadną w detalach, a w konsekwencji, mówmy wprost: za fałszywą, przedstawił Arystoteles swą własną teorię. Co tu kryć – całkowicie różną od platońskiej.

Krytyka okazała się surowa, bezlitosna, nadto podwójnie bolesna. Teoria twa, mój dostojny Platonie – zdawał się mówić uczeń – jest po pierwsze nieprawdziwa, bo nie spełnia wysokich wymogów metodologicznych, ujętych po stuleciach w tak zwaną „brzytwę Ockhama”. Powołuje mianowicie bez potrzeby jakowyś osobny, pierwotny i samoistny świat Idei, tudzież niejasną ontologicznie postać Demiurga (automatycznie też równie nieokreślone w cechach i pochodzeniu Pratworzywo). Uczyniło to obraz świata nadmiernie fantazyjnym, acz zbędnym w swej barokowej ornamentyce. Po wtóre, teorię twą, drogi Platonie, trzeba odrzucić, gdyż powstała już znacznie lepsza, trafniej odpowiadająca duchowi prawdy klasycznej, mianowicie moja własna, Arystotelesowa, metafizyka hylemorfizmu substancjalnego.

I tyle mógłby rzec Arystoteles Platonowi, a także później i swoim uczniom, gdyby go pytali o źródła i esencję obyczajów międzypokoleniowych. Czy chodzi wyłącznie

o prawo do sprzeciwu wobec niewątpliwej przewagi wcześniejszych generacji, wobec tradycji i ustalonego ładu społecznego? O to także. Przede wszystkim jednak idzie o *prawo* do prawdy, bez względu na presję historii i powagę urzędu nauczającego.

## Prawda

Jest ona wartością logiczną, występującą w sferze zdań danego języka lub w dziedzinie szerzej pojętej informacji, ujmowanych w inne niż zdaniowe postaci (myśli, obrazy, symbole, ekwiwalenty zdaniowe). Niezależnie od tego, czy chodzi o prawdę w sensie klasycznym, czy też w jakimś innym znaczeniu, spełniającym pewne kryterium (np. oczywistości, koherencji, pragmatyki), jest ona traktowana w logice dwuwartościowej jako przeciwieństwo fałszu (nieprawdy). Prawda uchodzi też za coś *a priori* lepszego od fałszu. Zakładamy bowiem, iż informacja o pewnych faktach, stanach rzeczy, zachowaniach obiektów, ludzkich myślach, obowiązujących w świecie zasadach i czymkolwiek innym jest znacznie lepsza, a może w ogóle absolutnie doskonalsza od wypowiedzi, która rozmija się z tym, na co wskazują jej znaki.

Ludzie prawdomówni traktowani są z szacunkiem, podczas gdy kłamcy, blagierzy, krętacze i oszuści, przeciwnie – z pogardą, nieufnością i niechęcią. Prawdziwa teoria i prawdziwa informacja o pojedynczym fakcie są w cenie, nieraz bardzo wysokiej. Koncepcji fałszywej, tak samo jak fałszywego doniesienia, nawet nie chcemy słuchać, gotowi do ukarania każdego, kto jawnie i bezczelnie szerzy nieprawdę. „Fałszywe świadectwo” w wielu kulturach traktowane było jak występki i grzech. Szczególnie odrażająca zda się nam sytuacja fałszu świadomie i celowo produkowanego. Nie chodzi wtedy o przypadkową omyłkę czy błąd, jako skutek niekompetencji lub efekt głupoty czy naiwności, lecz o fałsz podawany z premedytacją, ze świadomością posiadania dla siebie własnej, skrywanej prawdy. Jeśli ludzie mają nawet swoje prawo do fałszu (błądzenie należy wszak do kryteriów realnego człowieczeństwa), to należy ten przywilej rozumieć jedynie w sensie prawno-etycznym, jako *zasadę niekaralności za niechciane błądzenie*, nie zaś jako prawo do bezkarnego, nieodpowiedzialnego zwodzenia niedoinformowanych bliźnich przez posiadaczy prawdy.

Czyżby w tych rejonach myśli krążył umysł Arystotelesa, kiedy rozważał dylemat prawdy i przyjaźni? Czy magister Arystoteles obciążył profesora Platona za dokonanie fałszu mimowolnego, za pomyłkę przypadkową, nietrafność metafizycznego pomysłu, teoretyczne błądzenie w gąszczach hipotez i możliwości, czy też chciał od razu, bezkompromisowo i zarazem nader boleśnie uderzyć w dobre imię mistrza, sugerując mu nieprawdę świadomą i zamierzoną, niegodną nawet konfrontacji z towarzyską, akademicką sympatią?

Jeśli w ogóle pojawił się problem wyboru między prawdą a przyjaźnią, oznacza to, iż bliższe twórcy *Etyki nikomachejskiej* było raczej stanowisko pierwsze. Przyj-

muje ono, że Platon jest, co prawda, człowiekiem i filozofem moralnie uczciwym, lecz poznawczo błędzącym. Niemożliwa wszak byłaby przyjaźń – ani przedtem, ani tym bardziej teraz, po wykryciu trwania w fałszu – z kimś, kto świadomie łże w żywe oczy i celowo zaciemnia umysły swych najbliższych pseudoteoriami i nibykategoriami, czyli z gruntu nieuzasadnionymi a szkodliwymi fantazmatami swego zdeformowanego lub zdeprawowanego umysłu. Wybór między przyjaźnią a prawdą mógłby zostać dokonany wszak wtedy dopiero, kiedy, po pierwsze, już uprzednio zaistniało uczucie przyjaźni do Platona jako czcigodnego obywatela Aten i naukowego autorytetu oraz po drugie, gdy pojawiło się nowe a odmienne, krytyczne spojrzenie na przedmiot i sens koncepcji, dotąd głoszonej przez podziwianego mistrza.

Wszystko wskazuje jednak na to, iż przyjaźń została stworzona w sytuacji, kiedy prawdy – własnej, nowej prawdy – Arystoteles jeszcze nie znał, toteż łatwo mu przyszło w prywatne uczucie wcześniejszej sympatii wpleść zawodową aprobatę dla teorii idei. Afirmacja tamtej prawdy, Platońskiej, pozbawionej mocnej konkurencji w prawdzie lepszej, Arystotelesowej, byłaby psychologicznie łatwiejsza, rzecz prosta. Wygrana walkowerem, także w filozofii i w nauce, przychodzi na ogół bez wysiłku. Gdyby jednak Arystoteles sformułował swą filozofię substancji, nie czekając przez rok czy pięć lat, lecz natychmiast, w dniu poznania Platona, podczas pierwszego wykładu w gaju Akademosy? Czy przyjaźń do nauczyciela mogłaby wtedy w ogóle się narodzić? Czy odkrycie prawdy nie zbiega się zatem w jedno z odsunięciem pokusy przyjaźni dla głosiciela odmiennych poglądów? Na to wygląda, niestety. Wolno też przypuścić, iż po stwierdzeniu owej różnicy w poglądach niemożliwe się staje zadziernięcie i utrzymanie głębszych sentymentów – przyjaźni, miłości, szacunku, sympatii, tolerancji lub innej, pozytywnej więzi emocjonalnej człowieka z człowiekiem. Albo *wspólna prawda i przyjaźń*, albo *odmienne prawdy i wrogość wzajemna*.

## Przedmiot prawdy

Problem z prawdą zaczyna się wraz z jej przedmiotowym odniesieniem. Nie chodzi o prawdę samą (lub fałsz), ale przede wszystkim o to, czego ona dotyczy. Istnieje, oczywiście, chętnie przywoływana w podręcznikach, banalna prawda o faktach. Powiadamy na przykład, zgodnie z ową prawdą, że „pada deszcz” – gdy pada, „dziś jest czwartek” – kiedy słowa te wypowiedziano w czwartek, „widzę cię z bliska” – kiedy przyglądam ci się z odległości metra. Dla takiej empirycznej prawdy nie warto byłoby zapewne narażać na szwank przyjaźni, chyba żeby Platon notorycznie nas dezinformował w sprawach codziennych (bo przecież „nie pada”, „dziś jest sobota”, „nie widzę cię” albo „widzę cię z oddali”), narażając na praktyczne pomyłki, wadliwe decyzje

i nieład w naszym życiu. Mielibyśmy wówczas prawo i powód przerwania serdecznej przyjaźni z osobnikiem, który złośliwie lub z braku podstawowego rozeznania w rzeczywistości wciąż nas wprowadza w rozliczne konfuzje.

Czy o taką prawdę szło Stagiryście? Z pewnością nie, choć, rzecz jasna, nigdy nie możemy mieć pewności, czy poszczególne zdania o pojedynczych wydarzeniach nie są – choćby w perspektywie niedoskonałości języka – uwikłane w jakieś odległe, a nieogarnione struktury teoretyczne. Nie wiemy też na pewno, czy Arystoteles nie obarczał każdej wypowiedzi ciężarem kontekstu teoretycznego, by nie rzecz mocniej: *metafizycznego*. „Pada deszcz”, to niby prawda, pod warunkiem wszelako, iż istnieje coś takiego jak *deszcz* i że to, co się dzieje, jest w ogóle *padaniem* (zwłaszcza w obrębie metafizyki substancji). O „czwartku” lepiej nie wspominać, bo przedmiot tej nazwy jest jedynie jakąś konwencją kalendarzową (dlaczegóż dzisiejsze, jednodobowe „teraz” ma być wyodrębnialne w ogóle i jakoś się nazywać, na dodatek „czwartkiem”, czyli czwartym dniem po niedzieli?). Relacja poznawcza „ja–ty” także wymaga solidnego namysłu, na pewno zaś komentarza. Czyż można bowiem wzrokowo poznać kogoś, kto jest substancją wysoce złożoną, zmienną i tym samym określoną czasowo (dążącą nadto do swej *entelechii*), choćby nawet z niewielkiej, przynajmy, odległości jednego metra? Kim jesteś zatem – dla mnie i w sobie, ten „ty” widziany przez chwilę, z jednej, oświeconej strony? Czy widzę ciebie, czy tylko twój zewnętrzny fragment, dany z przodu?

Prawda, o której wypowiada się Arystoteles – to *prawda teorii*, prawda interpretacji świata, prawda metafizyki najpewniej. To w szczególności prawda o właściwym znaczeniu paraboli jaskini. Cóż bowiem mógł ujrzeć – zdaniem Platona – uwolniony z więzów Sokrates, jeśli nie idee, do których wszak – zdaniem Arystotelesa z kolei – dotrzeć nie był w stanie, ponieważ idei nie ma i nie było wcale (mimo zapewnień autora *Fajdrosa*, *Fedona* i *Uczty*)? Arystoteles poucza więc dobitnie, że i w jaskini i poza jaskinią – jeśli ta metafora w ogóle jest przydatna – istnieją wyłącznie konkretne substancje i w nich to, i tylko w nich, można odkryć ich formy jako znaki istoty i stemple przynależności do danego gatunku. Nie ma więc potrzeby wysilać naszych, ludzkich dusz wznoszeniem się na wyżyny idei, bo nic się tam nie znajdzie bytowo określonego, i to nie w wyniku niedostatków poznawczych, lecz z tego powodu, iż tam doprawdy jest absolutnie pusto. Do *eidosu* bytów poszczególnych docieramy natomiast gładko z pomocą dyskursywnego rozumu, który potrafi przekroczyć barierę jednostkowej, empirycznej dosłowności i uchwycić to, co ogólne, acz co jest zawarte z konieczności w substancji samej, i nigdzie indziej.

Dla takiej to nowej, filozoficznie doniosłej prawdy warto było zaryzykować przyjaźń, w konsekwencji zaś odrzucić ją – gdy taka powstała potrzeba – i ogłosić publicznie jej zakończenie. Arystoteles musiał być zdeterminowany nieuchronnością wyboru,



bez innego wyjścia, zwłaszcza drogą kompromisu. Prawda jawiła mu się zarazem jako *właściwość danej koncepcji* oraz jako *cecha konstytutywna człowieka*, który do prawdy dąży i który ją głosi. Później, po wiekach okaże się, iż Arystoteles stał się mimochodem odkrywcą bardzo wygodnej, uniwersalnej, zagregowanej interpretacji świata, kładąc podwaliny pod przekonanie, iż byt i wartość są w gruncie rzeczy *jednością*.

Powraca jednak pytanie, czy twierdzenie o takiej „jedności” także jest prawdziwe? Jeśli tak, to – nie ma zmiłowania – błędzący Platon (założmy, iż faktycznie się mylił) nie zasługuje na lepszy niż potępienie los, a więc odrzucenie doń przyjaźni uczniów, a potem również nas, historycznych spadkobierców i kontynuatorów coraz światlejszej myśli. Podążając tym tropem, utrwalamy zarazem przeświadczenie, iż w ogóle niemożliwe są – po Arystotelesie – sympatia, szacunek, przyjaźń oraz inne ciepłe uczucia okazywane jego nauczycielowi. Czy jednak zwyczajna prawda Arystotelesa – niechby i niepowątpiewalna – jest i musi być wartością ponad wszystko? A zbaczając nieco z głównego toru analizy – czy ewentualny, przyjazny powrót do Platona nie pociągnąłby konieczności wzgardzenia tym razem Arystotelesem i uznaniem go za kłamcę, uzurpatora i filozoficznego szkodnika?

Prawdopodobnie szukalibyśmy dzisiaj rozwiązań mniej radykalnych, podpowiadając młodemu, ambitnemu badaczowi, by próbował oddzielić jedno od drugiego, tonując swój rygoryzm „wszystko albo nic”. Odrzucając myśl Platona – przecież można zachować miłość i szacunek do jego osoby. Tak się wydaje nam dzisiaj, doświadczonym przez dzieje osobiste i bolesną historię ludzkości. Arystotelesowi tymczasem to najprostsze z rozwiązań jakoś do głowy nie przyszło. Obaj z Platonem wierzyli zapewne w istnienie jednej, nieziennej prawdy, toteż musieli zgodnie ponieść konsekwencje swego *absolutyzmu epistemologicznego*. Czy również w filozofii mamy obowiązek powtórzyć morał eposu Homera i całej ówczesnej kultury, w której Achilles żywi najgłębszy szacunek do Hektora, ale musi go zabić? *Tertium non datur*.

Jeśli prawdziwa jest teoria Arystotelesa, to fałszywa być musi teoria Platona. Umiarowana wersja zasady sprzeczności podpowiada wszak, iż dwie różne koncepcje nie mogą być zarazem prawdziwe. Zasada wyłączonego środka każe zaś niekiedy ufać, iż z dwóch bardzo różnych teorii jedna może być prawdziwa. Arystotelesowi mogłoby się wydać dziwne (Platonowi *nota bene* także), iż nie ma prawd ostatecznych i zamkniętych raz na zawsze. Jeśli nie gdzie indziej, to nie ma ich z pewnością w strukturze filozofii. Czy nie dość jest przykładów na poświadczenie podejrzeń, iż jakieś dwie różne teorie, nawet z tej samej epoki rodem, mogą się okazać na równi fałszywe, a z dwóch odmiennych akurat żadna nie daje gwarancji prawdziwości? Może i tak bywa, że poszczególni myśliciele, szkoły i kierunki skazane są tylko na własne prawdy cząstkowe, użyteczne zapewne dla przyszłych syntez, lecz *niedefinitywne* same w sobie?

Może więc każda teoria – z istoty swej teoretyczności właśnie – jest *raczej fałszywa*, niż *raczej prawdziwa*? Czyż nie dlatego więc ze spokojem rozumu i chłó-

dem serca, wertujemy – z pobłażliwością mędrców „po szkodzie” – wszelkie stare i nowsze księgi, nie oczekując od nich niczego więcej niż zdrowego pobudzenia wyobraźni? Któż obdarzony rozsądkiem i znawstwem dziejów myśli w ogóle mówi o prawdzie w wydaniu Platona, Arystotelesa, Tomasza, Hegla czy Bergsona, podobnie jak o prawdzie Homera, Dantego, Szekspira czy Dostojewskiego? Czy oni są odkrywcami prawdy i prawd poszczególnych, czy jedynie mistrzami pobudzenia chęci jej poszukiwania? Inspiratorami naszej wędrówki ku prawdzie? Światłem drogi – bez nich odbywanej po omacku, z ryzykiem blamażu, a nigdy się nie kończącej?

## Przyjaźń

Takie oto znaki zapytania, refleksje, przypuszczenia i konstatacje, *osłabiające pozycję prawdy w aksjosferze*, przyczyniają się do podważenia, a przynajmniej do zmiany nastawienia wobec dylematu Arystotelesa. Czyż dopiero obniżenie rangi i powagi prawdy mogłoby uratować przyjaźń, bezradną w innych warunkach? Między ludźmi niepewnymi swego, także między wątpliwym Platonem a sceptycznym Arystotelesem przyjaźń byłaby dozwolona, możliwa, a być może nawet niezbędna. Chodzi o przyjaźń jako wartość, oczywiście.

Wciąż jednak namysł poprzedzony jest niepokojem i niepewnością. Dlaczego urzeczywistnienie przyjaźni miałoby się dokonać kosztem wartości prawdy? Dlaczego przyjaźń musi być tak trudna do utrzymania albo wprost niemożliwa między pewnymi siebie, nieprzejednanymi, dogmatycznie nastawionymi posiadaczami monopolu na jedynie trafną koncepcję? Czy głuchota na głosy innych wartości wzrasta wraz ze stopniem pewności własnych odkryć w dziedzinie poznania?

Pytania te okazują się w istocie poważne. Przed człowiekiem, postawionym w sytuacji wyboru fundamentalnego, staje kwestia sposobu rozwiązania *sprzeczności* między *wartościami*, co więcej: wartościami z różnych dziedzin. Cóż tedy winno się uczynić, gdy prawdziwość pewnej teorii okazuje się tak niezbitą, bezwzględną i bezdyskusyjną, iż nie można z niej zrezygnować pod żadnym warunkiem? Czyżby wtedy należało nie tylko usprawiedliwić odrzucenie – może i z żalem – innych wartości, ale wskazać na równie absolutną konieczność takiej postawy, jaką to absolutnością wykazała się sama prawda? Czy na pewno trzeba zawsze i wszędzie podporządkować szept i krzyki uczuć oraz wołanie głosu obowiązku – nieprzekupnym, zimnym i twardym regułom logiki?

Według zasad moralności podporządkowanej rygorom *alethei*, sprawdzianem afirmacji drugiego ja, a chyba także i siebie samego, musiałby się stać powinnościowy, generalnie obowiązujący, bezwzględnie pozytywny stosunek do pewnych, a być może, wszystkich prawd uznanych za wzorcowe, pewne i niepodważalne. Skoro prawda jest ponad wszystko, to kto nie z naszą, kto nie z moją prawdą – ten nie może liczyć ani

na przyjaźń, ani na jej podobne, cieplejsze odruchy uczuć. Stosunek do prawdy stałby się tedy jedynym kryterium wyboru między wartościami, pozostającymi w konflikcie albo wywołującymi sprzeczności postaw praktycznych. Unieważnieniu z góry podległaby każda pozytywna ewaluacja, oparta na lekceważeniu, ograniczaniu lub pomijaniu prawdy. To, co nie z nią, co przeciw niej – nie może być dobre, piękne ani godne miłości.

Unicestwieniu uległby też po drodze stosunek *znoszącej sukcesji*. Każdy z nas i wszyscy razem jesteśmy spadkobiercami nie tylko materialnego dobytku poprzedników, ale nade wszystko ich poglądów, pojęć i nauk. Dostojnym przodkom zawdzięczamy zarówno to, co pozostawili po sobie pożytecznego, szlachetnego i mądrego, jak i widome ślady popełnionych błędów, pomyłek i zbrodni. To, co dobre – zachęca nas do kontynuacji, to zaś, co złe – uczy, jak powstrzymać się przed naśladowaniem głupstw i niegodziwości dziadów i ojców. Międzypokoleniowe znaki – zachęcające i ostrzegawcze – funkcjonują zawsze i we wszystkich kulturach. Chodzi o wszystkie, dostępne punkty historycznych odniesień, a więc o relacje wobec władców, wodzów i wynalazców, oraz o interesujący nas tu specjalnie stosunek do imion i dzieł myślicieli. Myślimy wówczas o osobie pojedynczego Platona oraz o platonizmie jako takim. O Kartezjuszu i Locku, ale i o kartezjanizmie i empiryzmie wyspiarskim. O Heglu, Husserlu i Jaspersie, ale też o heglizmie, fenomenologii i egzystencjalizmie w ogóle. O Ingardenie i Dąbrowskiej oraz gronie ich uczniów, uczniów ich uczniów, krewnych i powinowatych po myśli i stylu, tworzących krakowskie środowisko filozoficzne.

Skoro pewna przyjęta i zakodowana w naszych umysłach prawda jest nam bliższa i najbliższa spośród wszelkich wartości, niemożliwa jest przychylność wobec twórców koncepcji odrzuconych, zrozumiała zaś niechęć lub wzgarda dla teorii, których nie szanujemy, oraz dla zwolenników poglądów, których akceptować nie jesteśmy w stanie. Idąc krok dalej – antypatia przenosi się z reguły na dalsze fale spadkobierców i zdaje się wzrastać wraz ze współmiernym do upływającego czasu poczuciem *rosnącej wyższości własnej prawdy*. Nie potrafimy zapewne stworzyć entuzjastycznego stosunku do naszych dzikich praprzodków z epoki maczugi i jaskini, nie obdarzamy też przesadnym szacunkiem światopoglądów zrodzonych w ich kudłatych głowach. Dystans emocjonalny rośnie wraz z odległością intelektualną, obie wielkości podlegają zaś prawu erozji, wywołanej biegiem procesu zmiennych wydarzeń.

Jeśli decydujemy się zerwać przyjaźń z samym, oryginalnym Platonem, to tym bardziej stanowczo podtrzymujemy obcość i nieprzyjaźń wobec błędzących jego sukcesorów i epigonów. Arystoteles musi zatem postawić twardo na samego siebie, odrzucając towarzyską bliskość ze Speuzypem i resztą kolegów, którzy zostali wierni wspólnemu nauczycielowi. Prawda likwiduje zatem w zarodku nie tylko bliskość mistrza z uczniem oraz ojca z synem, ale osłabia też więzi krewniacze, sąsiedzkie, rówieśnicze i pokoleniowe. Koszt jest zatem wielki, a konsekwencje chyba nieodwracalne.



Człowiek przedkładający prawdę nad przyjaźń pozostaje samotny, wyizolowany, bez towarzystwa i bez bliskich, bez przeszłości i bez teraźniejszości. Istnienie swe zmuszony jest skupić na sobie samym i własnej misji. Człowiek prawdy zostaje ze swą prawdą, lecz z pustymi rękami.

Możliwa, na szczęście, okazuje się nieokreślona i niepewna, ale nieuchronnie nadchodząca *przyszłość*. Jeśli nie da się niczego uratować z zakłamanej przeszłości, jeśli kompromis wydaje się zbyt zgniły i jeśli nieprawdopodobna jest jakakolwiek kontynuacja nieprawdy, to w imię przyszłości zostajemy wezwani do rozpoczęcia wszystkiego od nowa. Dokonujemy tego zapewne z ciężkim brzemieniem zdrady, jednakże z poczuciem braku lepszego wyjścia. Prowadzeni głosem obowiązku wobec nieuchronności podważenia dotychczasowego porządku, wchodzimy w nową towarzyską konstrukcję z nadzieją, że tym razem będzie lepiej, lecz już na warunkach postawionych przez nową, własną, tym razem Arystotelesową i jej podobną prawdę.

*Umarł król – niech żyje król!* Tak rozpoczyna się epoka przyjaźni poplatońskich, najpierw przyjaźni z samym Arystotelesem. Czy akt ten stanowi preludium do powtórzenia prawdziwościowego cyklu, z realną groźbą kolejnej nielojalności i porzucenia przyjaźni wobec Arystotelesa akcesem do partii zwolenników prawd następnych i następnych? Dla jednych tak, dla innych nie. Może się bowiem okazać, iż któraś przyjaźń okaże się po prostu ostatnią.

Czy ten prawdziwościowy totalizm, kwestionujący ludzkie prawo do trwałej, normalnej, bezinteresownej, niczym nie regulowanej przyjaźni, nie narusza aby w konsekwencji istoty stosunków ludzi z ludźmi? Trzeba się nad tym poważnie zastanowić. Nie da się bowiem wykluczyć takiej reinterpretacji ludzkiego świata, wedle której przyjaźń jako symbol zbiorowych uczuć może i powinna być osadzona wyłącznie na fundamencie *wspólnoty myślenia*. Jest to niewątpliwie ciekawy punkt widzenia, *nota bene* obecny w bodaj wszystkich, klasycznych utopiach społecznych. *Myśląc jednako – tworzymy realną wspólnotę życia*.

Dostrzegając zalety *intelektualizmu aksjologicznego*, trzeba jednak uwzględnić liczne niebezpieczeństwa takiego pojmowania podstaw ludzkiej gromadności. Zrujnowanie owej wspólnej bazy intelektualnej (na przykład kręgu przewagi Platona) stawia ogół zainteresowanych zawsze przed dylematem: albo kreujemy przyjaźń na warunkach nowego fundamentu intelektualnego (czyli teorii Arystotelesa, załóżmy), albo też całkowicie rezygnujemy z przyjaźni (czyli rozrywamy więź międzyludzką). Pierwsza droga – to poddanie się Platona i platoników nowej, integrującej sile. Oznacza to wszakże ukorzenie się przed Arystotelesem i odtworzenie przyjaźni pod dyktando zwycięzcy w prawdzie. Droga druga to wkroczenie w stan wojny między koncepcjami, bez wskazania czyjejkolwiek przewagi z góry. Tutaj zaś, jak wiadomo, otwiera się bezmiar konfliktów między zacietrzewionymi umysłami, które wprowadzając się w stan likwi-

dacji dotychczasowych przyjaźni – samoczynnie niemal uruchamiają proces eskalacji coraz brutalniejszych form konfrontacyjnych.

Czy niemożliwe są tedy przyjaźń, miłość, troska, życzliwość, pomoc i inne gorące uczucia i wartości pomiędzy ludźmi o różnych poglądach i wierzeniach, przekonanych nadto o własnym monopolu na prawdę? Arystoteles sugeruje odpowiedź negatywną i wielu podąża za jego przeświadczeniem. Nieśmiało wszak zgłaszają swą obecność zupełnie odmienne rozwiązania, nie tylko lekceważące dominację czynnika „Jedności myśli”, lecz żądające nawet od ludzi poświadczenia nieprawdy jako gwarancji autentycznej przyjaźni właśnie.

## Oblicza nieprawdy

Wszystkie teorie prawdy znajdują swe negatywne odbicia w identycznie formowanych, lustrzanych koncepcjach fałszu. Fałszywym nazwiemy taki sąd, który jest niezgodny z rzeczywistością, albo taki, który nie wiedzie do użytecznych skutków, albo taki, który jest nieoczywisty, albo taki, który staje w sprzeczności z pewnymi innymi twierdzeniami, albo taki, którego nie aprobuja znawcy względnie ogół pytaných. Zamiast nieprawdy lub fałszu, możemy, rzecz jasna, wstawić rozmaite inne pojęcia: iluzji, ułud, złudzenia, pozor, fantomu, fantazmatu, pomyłki, kłamstwa, łgarstwa, błagi, półprawdy, przemilczenia, przesady, komplementu, paszkwilu, pochlebstwa, karykatury etc. Niezależnie od przyjętych kryteriów i zajętego stanowiska w ramach intensywnie rozwijanej teorii prawdy, każdy z nas mniej więcej domyśla się, gdzie leży ona sama, a gdzie jej przeciwieństwo lub pozor.

Prawda wydaje się jedna, klarowna, piękna i czysta. Poza nią rozciągają się zaś niezmierzone obszary odstępstw, przeinaczeń, zabrudzeń, przekłamań oraz zdecydowanych sprzeczności. Każda niepełna, nieco tylko odbiegająca od doskonałości opinia, osąd czy teoria natychmiast musi rodzić podejrzenie, iż odchylając się od absolutnego pionu, stacza się z konieczności w przepaść błędu, fałszu i innych grzechów przeciw poznaniu. Prawda jest samowolna, dlatego jest wielu obojętnych, niechętnych, a nawet zajadłych jej przeciwników. Broniąc swoich stanowisk, swych niby-prawd, czyli błędnych twierdzeń i koncepcji, skłonni są upierać się przy własnych, ciasnych mniemaniach, lecz zamykając się na *prawdę* jako taką, która jest traktowana jako sprawa cudza. Nieraz tak bywa zresztą, iż dotarcie do własnej, oryginalnej prawdy albo pójście za prawdą cudzą, acz niepopieraną przez większość, wymaga nie tylko otwartego umysłu, lecz nade wszystko *bohaterskiego serca*. Prawda dlatego właśnie zyskała sobie szczególne miejsce w hierarchii wartości, gdyż jej zdobycie i otwarte, publiczne głoszenie częstokroć wiązało się z osobistym poświęceniem, a nawet najwyższą ofiarą. Potwierdzają to zarówno starożytne mity, jak i autentyczne historie z wszystkich eta-

pów ludzkiej historii. Postaci Sokratesa, Buddy czy Chrystusa służą za znaki szczególne tej właśnie prawdy o prawdzie.

Nie można jednak ukrywać faktu istnienia znacznych różnic w wypadkach, gdy opuszczamy bezpieczny teren logicznych abstraktów i przenosimy się na twardy grunt faktów rzeczywistych. Wtedy to prawda występuje jako cecha sądów ogłaszanych przez konkretnego człowieka innym ludziom, w pewnej sytuacji i w danym czasie. Co więcej, dokonuje się to w ramach posiadanej wiedzy gotowego do prawdomówności osobnika oraz żywionych przezeń intencji, zawsze konfrontowanych z wiedzą i intencjami adresatów prawdy, a nawet z istniejącą obiektywnie – całkiem gdzieś poza nimi – wiedzą innych ludzi czy też po prostu z wiedzą posiadaną przez człowieka jako takiego (w historycznie określonej przestrzeni poznania).

Przyjmując za punkt odniesienia *stan nauki* we współczesnym świecie, możemy rzec bez obłudy, iż oczywiście, ludzie sprzed 500, 1000 czy 5000 lat karmili się na ogół prawie samymi bzdurami na temat świata, w którym żyli. Choć mieli z pewnością najlepsze zamiary, to przecież ochoczo dzielili się tamtymi fałszami z bliźnimi, żądając dla pozorów, iluzji i prowizorki nie tylko wewnętrznego respektu, ale i głośnego potwierdzenia. Nikt lub prawie nikt nie zdawał sobie sprawy ze swych pomyłek i błędów, ani nawet z ogromu wadliwych tudzież szkodliwych założeń. Absolutne głupstwa – mocą dekretów, siły instytucji, tudzież inercji obyczajów – zmieniały się łatwo w absolutne quasi-prawdy pradawnych światopoglądów, wierzeń i ideologii, żądających wszakże niemal zawsze absolutnej akceptacji i codziennego poświadczania całokształtem ludzkiego życia.

Czy wolno nam jednakże dziadów i ojców obciążać winą za to, że w ogóle coś głosili, skoro powinni i mogli – wzorem sceptyków – po prostu powstrzymać się od wszelkiego sądu? Trzeba powstrzymać się wszakże wtedy, kiedy ma się pewność, iż można się mylić. Co zrobić wówczas, kiedy odwieczne, jak najbardziej naturalne *prawo do prawdy* przybiera postać prawa do własnych przypuszczeń, prawdę godnie lub tylko fikcyjnie zastępujących? Czy sceptyczne ostrzeżenie dotyczy zresztą tylko czasów zamierzchłych, wobec których nietrudno żywić uczucie protekcyjnej wyższości? Czy nie obejmuje także i naszych dni, i nas samych dzisiaj, bynajmniej nie zwolnionych z obowiązku ostrożności i rozważliwosti?

Zapewne, powściągliwość i skromność są cnotami dobrymi na każdą turę dziejów. Jeśli więc nie wiesz wszystkiego oraz nie wiesz tego, co wiesz z całą pewnością, to czy nie powinieneś się zatrzymać zawsze w bezpiecznej odległości przed prawdą rzekomą, tymczasową, niepewną, miast chęć się jej posiadaniem i rozsyłaniem pogroźek wobec inaczej poznających?

Dyrektywa sceptyczna dotyczy zapewne ogółu sądów, mniemań i pomysłów. Wybiegając dalej, natychmiast nasuwa się podejrzenie, iż między zwolennikami Pirrona nie powinno dojść nigdy do zasadniczego rozbratu z przyjaźnią przynajmniej z tego po-

wodu, że skoro żaden z ewentualnych kandydatów na adwersarzy nie upiera się przy jakiejś konkretnej lub jakiejkolwiek prawdzie, to kontrowersji wokół niej powstałych nie można uczynić hamulcem dla rodzących się albo już powstałych gorących uczuć. Uczciwy, konsekwentny sceptyk nie mógłby zatem popaść w dramat dylematu Arystotelesa.

Czyż jednak jest to jedyna droga do ratowania przyjaźni: nie mieć poglądów albo mieć, lecz nigdy się do nich nie przyznać?

## Po pierwsze – nie szkodzić

Najciekawsze sprawy kryją się wszelako nie tam, gdzie nikt nic nie wie, a wszyscy – po gombrowiczowsku – coś tam mniemają albo i nie mniemają. Zagadnienie sporu o wartości pojawia się wówczas, kiedy mamy do czynienia nie z przypadkowym, ale w pełni świadomym wyborem nieprawdy i jej przekazaniem, wiedząc z góry dobrze, na czym prawda polega i dlaczego akurat nie użyczamy jej komuś, kto dostępu do niej jest pozbawiony. Jeśli rezygnujemy z prawdy (znając ją przecież), oznacza to, po prostu, że wyparła ją w określonej sytuacji jakaś inna wartość.

Relacja główna przebiega zatem pomiędzy podmiotem *P*, znającym daną prawdę *W*, a pewnym innym człowiekiem *O*, który tej *W* nie zna. Chodzi w szczególności o dwie możliwe sytuacje. W pierwszej, *O* zwraca się do *P* z pytaniem o *W*. Inicjatorem relacji poznania prawdy jest więc tutaj ktoś, kto, co prawda, nie zna danej prawdy *W*, lecz potrafi zadać trafne o nią pytanie, wywołane jakimś ukierunkowanym na oczekiwaną odpowiedź niepokojem poznawczym. *O* pyta – *P* jest zapytany. *O* pragnie tej prawdy, *P* mu udziela odpowiedzi (prawdziwej lub fałszywej).

W drugiej sytuacji, *O* nic nie wie o możliwości *W* i nie zgłasza żadnego pytania do *P*. Inicjatorem relacji przekazania prawdy może zostać wyłącznie *P*, który posiadał uprzednio daną prawdę *W* i przypuszcza zarazem, iż poznanie *W* mogłoby zainteresować *O*. *P* informuje zatem ochoczo swego rozmówcę na temat *W*. *O* zostaje w ten sposób – bez własnego żądania – obdarowany prawdą *W*.

W pierwszym wypadku dotarcie do prawdy było rezultatem starań ciekawego prawdy pana *O*. To on jej pragnie, on jej pożąda, to on aranżuje ciąg wydarzeń w celu jej wydobywania i ujawnienia. On też ponosi znaczną część odpowiedzialności za konsekwencje aktu odkrycia prawdy, choć także za jej zatajenie, schowanie głębiej lub za zwykłe kłamstwo, wywołane przecież jawnie postawioną kwestią (nie można wszak skłamać, nie odpowiadając na żadne pytanie). W drugim wypadku wdzięczność zdaje się należeć panu *P*, bezinteresownemu ofiarodawcy danej, prawdziwej wiedzy. Nikt go o nic nie pytał, ale on szlachetnie podzielił się posiadaną informacją, nie patrząc nawet, czy jest dla rozmówcy konieczna, czy tylko potrzebna, a może nawet zupełnie obojętna. Wypadnie zaś takiego chętnego jednak zganić wtedy, kiedy – wcale nie pytany –



śpieszy do bliźniego swego nie z prawdą, lecz z dezinformacją i kłamstwem. Pierwszy wypadek – to prawda lub kłamstwo na *życzenie* człowieka ciekawego jakiejś odpowiedzi. Drugi – to bezinteresowna ekspozycja prawdziwej lub sfalszowanej wiedzy danego aktywnego podmiotu relacji międzyludzkiej, po przeciwnej, odbiorczej stronie – pasywność bycia obdarowanym prawdą. Czy istnieje różnica między poszukiwaniem prawdy i w konsekwencji znajdowaniem jej tam, gdzie się szukało, a otrzymywaniem prawdy bez własnego zaangażowania? Zapewne, chociażby w sensie psychologicznym, a na pewno także etycznym.

Najważniejsze jednak jest rozstrzygnięcie – *co to za prawda*, czego dotyczy, jak i przez kogo jest sformułowana, przede wszystkim jak się ma do danego podmiotu w określonej sytuacji? Prawda objawia się przede wszystkim jako wartość *autoteliczna* – niczemu nie poddana i nikomu nie służąca, stanowiąca bowiem cel ostateczny w poznaniu. Wiodą do niej zapewne różne drogi, ale ona sama jest *szczytem*, poza którym nie ma już niczego wyższego. To właśnie wydaje się niekwestionowaną, podstawową aksjologicznie prawdą o prawdzie. Jak większość wartości, może ulec jednak – w obrębie innego hierarchicznie układu – pewnej transformacji i stać się środkiem do odmiennego, acz także pozytywnie wartościowego celu (na przykład praktycznej aplikacji w technice). Zdarza się jednak, iż niczego nie tracąc ze swych niezbywalnych walorów poznawczych, prawda może zostać, niestety, źle *użyta*, prowadząc do celu negatywnie wartościowego, przynosząc szkody i krzywdy. Potrafi stać się wówczas nie tylko ekspozycją *nadmiaru i zbędności*, lecz – powiedzmy wprost – mniejszej lub większej *szkodliwości*.

Istnieją zatem prawdy niepotrzebne, zaśmiecające poszczególne umysły i całą wiedzę ogólnoludzką, deformujące obraz świata i zdrowie psychiczne podmiotów. W konsekwencji zaś, swą pojemnością, siłą banału i napuszczonym, męczącym żądaniem ich przyswojenia wypierają nie tylko emocje i nastroje, ale też inne prawdy – ważniejsze, ogólniejsze, bardziej przydatne do życia. Częściej spotykamy się tu z przymusem stwarzanym przez różnych, aktywnych w gadulstwie ludzi lub przez jakieś instytucje (szkołę, urzędy, media?), niż z efektem własnej ochoty do nabywania wiedzy zbędnej i nieciekawej, albo też błahej, choć intrygującej, jak pogłoska, fama i plotka. Niekiedy ulegamy towarzyskiej, społecznej presji i przyswajamy sobie tysiące nieistotnych informacji, z którymi trudno się uporać i nie wiadomo, co zrobić. Nie chcemy i nie potrzebujemy wiedzieć, ile ziarenek piasku liczy Sahara, jakie było rankiem zeszłego roku ciśnienie na Antarktydzie (na którą się nie wybieramy) albo co pani Kowalska rzekła przedwcześniej Nowakowej o Kwiatkowskiej (z reguły nic pochlebnego).

Niekiedy udaje się nam uciec przed lawiną takich prawd. Innym razem jesteśmy jednak zmuszeni wysłuchiwać wielu twierdzeń z pewnością prawdziwych, acz zupełnie dla nas bezużytecznych, zarówno teraz, jak i w przyszłości. Co więcej, niektórych prawd musimy się uczyć, zapisywać je w kajetach, przekazywać dalej, albo odczy-

tywać skrupulatnie, raz po raz, na przykład przed podpisaniem niezbyt klarownego oświadczenia lub dokumentu. Obezwładniani, zasypywani, zalewani kaskadami prawd wielkich i małych, bronimy się czasem dzielnie przed ich inwazją, wyczuwając ograniczenie objętości własnego mózgu i organiczną niezdolność do przyswojenia absolutnie wszystkiego, co naciera na nas z potężnym, informacyjnym szumem. Prosimy i żądamy niejednokrotnie: już dość tych prawd! Prawd zarówno o nas samych (na przykład w wysłuchiowaniu połajanek pedagogicznych czy w zwykłym plotkowaniu), jak i o świecie, który o ileż byłby piękniejszy, gdyby jego wizerunku nie psuła gęstniejąca wciąż warstwa prawd niepotrzebnych i niechcianych. Przychodzi nam wtedy do głowy bluźniercza myśl, iż *lepsz*e od *prawdy* bywa *milczenie*.

Bywają jednak prawdy po prostu *szkodliwe, toksyczne, niszczące, destruktywne*. W wielu wypadkach bardzo źle się kończy ich otrzymanie od chętnych, bezinteresownych ofiarodawców albo samodzielne zdobycie przez naiwnych poszukiwaczy wiedzy za wszelką cenę. Dotyczy to na ogół zdań poszczególnych o pewnych faktach, twierdzeń wyjętych z kontekstu, odartych z interpretacji, niezrozumiałych do głębi w swej nagiej faktyczności. Dotyczy to także jakichś sądów ogólnych, poglądów i stanowisk, wyrażających metafizyczne domniemania oraz polityczne sympatie i kulturowe, aksjologiczne preferencje.

Jeśli żyliśmy dotąd i nadal żyjemy bez danej, nowej, bo dopiero nadchodzącej prawdy, jeśli wytworzyliśmy uprzednio stan homeostazy wewnętrznej, tudzież harmonii ze światem, to pojawienie się jakiejś świeżej, niechby i najprawdziwszej wiedzy, może spowodować nie tylko przeszacowanie koniunktury, lecz i głębokie naruszenie stałego ładu strukturalnego. Dobrze, jeśli zmiana przyniesie lepsze, korzystniejsze rozwiązanie, bieda – kiedy zaburzenie wywołane wkroczeniem pewnej prawdy zniszczy cały nasz mikrokosmos i stosunki z otoczeniem. Rodzi się więc zasadniczy dylemat: czy lepiej znać tę prawdę (całą prawdę) i wedle niej, z pełną, choćby i najprzykrzejszą świadomością, kształtować nowy stan rzeczywistości, czy też raczej tkwić w niewiedzy lub wiedzy cząstkowej, przyjmując, iż jest nadal tak, jak było, ale za to czerpiąc z tego obiektywnie zafałszowanego (choć subiektywnie nieskażonego) obrazu siłę do przetrwania, do życia, do pracy i do wszelkich, pozytywnych relacji z ludźmi?

Wydaje się, że mimo zasadniczych oporów, wynikłych z uczestnictwa w klasycznej *kulturze prawdy*, trzeba rzecz jasno, iż istnieją takie obszary *aksjologicznej niepewności*, w stosunku do których należy zachować wstrzemięźliwość, w rezultacie zaś wstrzymać się przed potępieniem tych, którzy niekiedy celowo głoszą kłamstwa i rozpowszechniają fałszywe informacje. Prawda jest niby ponad wszystko, ale ze znamiennymi wyjątkami. Chodzi o to, że czasem lepiej nie odkrywać i nie ujawniać prawdy – zarówno przed sobą, jak i przed innymi – zwłaszcza tak zwanej „*całej prawdy*”, a nawet słuszniej jest – gdy się prawdę zna – świadomie głosić fałsz. Kiedy i jak? – oto jest pytanie. Jeśli nie ma reguł ogólnych, dogodniej rzecz zilustrować przykładami.

Dylemat 1 (nieuleczalnej choroby). Czy śpieszyć się z ogłaszaniem tragicznej diagnozy w sytuacji, gdy grozi to odebraniem resztek nadziei (potrzebnej do produkcji energii życiowej), czy też prawdę ową – jeśli jej chory żąda kategorycznie – podać w opakowaniu dyskretnej kosmetyki humanistycznej, mianowicie w ramach możliwości szans na poprawę (w zasadzie nigdy ontologicznie nie wykluczonej).

Dylemat 2 (groźby skazania). Czy na pytanie o znany nam adres, pod którym ukrywa się poszukiwany przez Gestapo rodak, należy odpowiedzieć zgodnie z prawdą, że przecież wiemy i zaraz powiemy, czy też wolno – i trzeba – skłamać lub podać fałszywy trop?

Dylemat 3 (lustra opinii publicznej). Czy należy pośpieszyć z prawdą na temat oceny wyglądu, stanu umysłu, opinii o poziomie szacunku, o tym, „co ludzie mówią”, wtedy, kiedy wieści nie są dobre, a mogą sprawić bliźniemu naszemu nie tylko zwyczajną przykrość, ale i znaczne pogorszenie jakości życia, poczucie wyobcowania, odrzucenia, ośmieszenia i zlekceważenia? Czy też – jeśli się nie ma do przekazania zbyt pochlebnych opinii, lepiej nie mówić nic albo starać się nawet, w warunkach konieczności wypowiedzi, najbardziej negatywny osąd przybrać w kostium oględności, umiaru, kulturalnej delikatności?

Dylemat 4 (lustra osobistego). Czy należy dotrzeć do nieprzyjemnej prawdy o sobie przed sobą samym ujawnionej na temat własnych, nikłych szans życiowych, braku talentów, mglistych widoków na przyszłość i nieciekawych cech zewnętrznych? Czy zamiast prawdziwej, lecz przesadnie krytycznej samooceny, nastrajającej pesymistycznie do życia, nie należy aby utworzyć autoportretu ufryzowanego, wyretuszowanego, piękniejszego od rzeczywistości, ale za to pełnego radości, dumy i chęci do lepszego życia?

Dylemat 5 (właściwego czasu i miejsca). Czy mówić wszystko od razu, natychmiast, bez przygotowania, śpiesząc się z każdą prawdą, której zostaliśmy posiadaczami? Czy też przeciwnie, musi się znaleźć dla każdej prawdy właściwy czas i miejsce, kiedy to bierze się pod uwagę ogół okoliczności poprzedzających, towarzyszących i mających nastąpić po danym wyznaniu prawdy i całej prawdy?

I tak dalej. Odpowiedzi nasuwają się same, a raczej narzuca je „samo życie”, czyli praktyka odnajdywania najwłaściwszych, najtrafniejszych rozwiązań kwestii hierarchii wartości, przynależnych do różnych dziedzin aksjiosfery. We wszystkich wyżej przedstawionych dylematach – i kolejnych, rozwijających inne przypadki – prawda zostaje przeciwstawiona albo **byciu** (istnieniu, życiu, optymalnej jakości egzystencji, byciu tu i teraz), albo **dobru** (przede wszystkim różnym wartościom etycznym wchodzącym w skład jego *spectrum*), albo też ewentualnie *pięknu*, *pożytkowi*, czy nawet *przyjemności*, po prostu.

## Bez konkluzji

Chociaż zapewne niełatwo przyjdzie sformułować jakąś ogólną zasadę *ustępstwa prawdy przed innymi wartościami*, odczuwamy jednak instynktownie, iż istnieje niewidzialna, uchwytna jedynie w przybliżeniu *granica obowiązywalności* prawdy. Poza nią rozciąga się obszar zaniku bezwzględnego obowiązku jej odkrywania i natychmiastowego głoszenia – dla każdego identycznej, zawsze i wszędzie dostępnej i jednakoowo formułowanej. Niezależnie od faktu, czy i w jakim stopniu mamy do czynienia z prawdą „w sobie” absolutną (niczym prawdy matematyczne), czy tylko ze słabszymi prawdami względnymi („dla siebie”), każda z nich – w konfrontacji z innymi wartościami – musiałaby zostać *aksjologicznie zrelatywizowana*. Ten rodzaj *deabsolutyzacji* mógłby snadnie zostać nazwany *imperatywem powstrzymania prawdy* – prawdy jako żywiołu cudownego, wspaniałego i na ogół pożytecznego, aczkolwiek w pewnych warunkach niszczącego brzegi i tamy, rozlewającego się bezładnie i niezbyt racjonalnie na żywe, choć bezbronne obszary życia naturalnego.

Rezygnacja z takiej właśnie, relatywistycznej koncepcji zmusiłaby nas bowiem do postawienia prawdy zawsze i wszędzie powyżej innych wartości, to znaczy uznania, iż ona jest *ponad wszystko*. Czy prawda jest naprawdę ponad wszystko, ponad inne dobra, rzecz jasna, w obliczu fundamentalnych, nie do ominięcia konfliktów? Być może. Jej hierarchiczny prymat, a co za tym idzie, zarówno wybrana, sytuacyjna, jak i uniwersalna, dziejowa bezkompromisowość ostatecznie musiałyby przynieść tryumf obiektywnej przewadze wartości bezwzględnego *autotelizmu*.

Celem człowieka jest *wiedzieć wszystko*, czyli ostatecznie poznać prawdę absolutną, czyli osiągnąć stan boskości. Cokolwiek znajduje się po drodze do tego finału, musi bezdyskusyjnie i bezwarunkowo ustąpić przed prawdą, niezależnie od czynionych spustoszeń na innych terenach. Skoro prawda może być, jest lub musi być *kosztowna*, należy ścierpieć żądanie przez nią koniecznych ofiar w pobliskich i odleglejszych regionach tej *samej przestrzeni wartości* (zwłaszcza, gdy nie da się osiągnąć kompromisu).

Zwycięstwo prawdy – okupione czasem odrzuceniem wszystkiego innego, w tym konkretnego dobra i detalicznego piękna – może wszakże przynieść w zamian niezwykły, metafizyczny sukces ludzkiego bytu w wymiarze *uniwersalnym*. Choć szczegółowo poturbowany, nieszczęśliwy i niespełniony – człowiek tak doświadczony może w ten i tylko w ten sposób osiągnąć właśnie szczyt poznania. Jako *szczyt sam w sobie* wart jest on nawet przyjaźni, miłości, nadziei, radości i szczęścia. Oczywiście, jeśli akurat prawdą trzeba zapłacić za wszelkie inne, najmocniejsze strony bytowania.